

Tomasz Stępień

# WILK



# 1.

## Wilk

Tak naprawdę, to nie zimno nocy jest dokuczliwe. To ten bezmierny, wszechogarniający z każdej strony świat, pochłonięty swoją nicością. Wnikaniem w swoje jestestwo, pochłanianiem swoich drobin, ziaren piasku suchych i zimnych jak to wszystko co jest ponad nim. Suchość i chłód. Nie suchość, którą czujesz, kiedy piasek przesypuje Ci się przez palce – ale suchość drewna, gdy naciskasz spust. Nie suchość w nozdrzach, kiedy próbujesz przebić się przez wąwóz, a suchość prochu, który ładujesz, czekając na ofiarę. Zaś chłód... chłód wdziela się każdej nocy, mimo ubrań, i dotyka skóry, drażniąc nienawykłą – a wszak jak przyzwyczajoną – do niego, część nas, do której jesteśmy tak przywiązani.

Chłód i suchość, są życiem tych pustkowi. Niczym mniej, niczym więcej, lecz ktokolwiek pojawia się tu nowy, czuje tą odmienność. Nie jest ona tak różna od życia miasta, ani nawet terenów zielonych zza gór. Lecz tam... tam jest ona ukryta. Ukryta pod pozorami. Któz oczekuje chłodu, w ciepłym domu w dolinie? Któz oczekuje suchości, w cichej łaźni domowej?

Wszystko to jest i tu, i tam – tu jednak wyraźniej, gdyż nic nie chroni naszego wzroku, słuchu, ani węchu przed nim. Ani umysłu. Bo to on, w ostatecznym rozrachunku, jest rozliczeniem z tym, co nas otacza.

Nie żałuję wybycia z miasta. Pozbycie się złudzeń... chyba dobrze mi zrobiło. Nie szukam już ciepła, bo wiem, że nie znalazłem go nawet tam. Tym bardziej tu go nie znajdę. Nie szukam już delikatności, gdyż suchość wbijała się w moje płuca i tam. Tu zaś nie pojmuje czerni jako bieli. Jeżeli coś, choć przez chwilę, jest delikatne, to długie i tak nie pozostanie. Ale chociaż wiem, kiedy... kiedy było. Mogę dostrzec to mknienie, ten błyśk delikatności. Nie ułudę trwania.

Jednak, moje płuca przyzwyczaiły się. Do tego, co mi nigdy bliskie nie było. I nadal nie jest. Stopniowo czuję, jak ich rytm dostosowuje się do płynących z wydm piaskowych wiatrów, by nadążyć, z tą trującą szczerością. Każde rozbicie obozowiska, każde naładowanie strzelby, każdy posiłek przy ostaequa\* w oddali. Wszystko to przybliża mnie do ich żółtych oczu. Ich śpiew niesie się po pustyni, niczym dusze, którym brak ognia i strawy, ani koca, gdy zapada noc.

Pustynia nie jest mi domem, ale niczego poza nią już nie mam. Wiatr, chłód, piasek i własne myśli o opuszczonej mieście. To wszystko, z czym mogę się mierzyć, tej nocy. Każdej nocy.

\*

Poranek, słońce budzi pustynię swoimi wyślizgującymi się zza wzgórz promieniami. Powietrze, zaduch, stoi w miejscu, i ani myśli ruszyć się gdziekolwiek. Zatem noc minęła. Kolejna noc spędzona na wyczekiwaniu. Czas więc wstać, zabrać koc, garnek i siebie. I załadować na konia.

Zbliżając się do wbitego uprzednio kołka, widzę go. Nikt go nie ukradł. Nawet w to nie wątpiłem. Lecz podróżując samotnie, zawsze jest ta obawa. Ostaequa czasami rzucają się watahą nawet na dużo silniejszych przeciwników. Byłby łatwym łupem. Ja zresztą również.

Przywiążuję koc do siodła, garnek i kilka drobnych rzeczy trafia do torby przewieszonej na jego boku. Po obozowiku nie pozostało nic, jak tylko mała kupka drewienek, które służyły mi jako ognisko. Otwierając jednak bukłak, i popijając z niego... eh, będę musiał uzupełnić zapasy wody. Wiosek w okolicy nie ma. Czeka mnie męcząca przeprawa.

Wsiadając na konia, myślę o zaduchu. Jest dopiero poranek, więc szykuje się gorący dzień. Psiakrew. Wody ubędzie dużo, a podróż będzie wolniejsza. Nie ma co liczyć na strumyk w trakcie drogi, to sucha na wiór ziemia. Dlatego zresztą tu jestem, ale w takich chwilach jest to przekleństwo.

– Hoi! – zakrzykuję, wsiadłszy na konia. Rusza z miejsca powoli, ospale, jednak następny krzyk pobudza go dostatecznie. Rytmicznie wybijając tempo, daje się skierować na właściwą stronę – na zachód.

Mam pewną nadzieję, że gdy słońce będzie w zenicie, znajdę choć cień drzew jako schronienie. Może bardziej warto będzie nawet iść dalej tej nocy, byleby uniknąć gorąca dnia. Owinięcie kocem niekiedy wystarcza. A poza ostaequa nic mnie raczej wtedy nie zaskoczy. A na nie mam proch.

\*

Świst wiatru, pojawił się, ożywiając martwą ciszę. Koń stąpa już, bo kolejne godziny upływają, a ciepło jedynie się wzmagia. Wyczulony węch daje mi jednak znać, że w tych okolicach jest życie. Zatem jest i woda. Pozostaje pytanie, czy jest to jakieś drobne miasteczko, o którym zapomniałem, czy może jakaś oaza.

Mieszają mi się obrazy w umyśle. Na początku było tak z wyczerpania – kiedy jeszcze nie oswoiłem się z pustkowiami – teraz z kolei jest to z monotonii i pustki. Tej w głowie. A pustka zawsze stara się czymś zapełnić. Więc pojawiają się obrazy,

chaos, szaleństwo.

Wzrok pada na lewo. Oaza. Jednak. Chociaż kręci mi się w głowie, więc przekręcam się na prawo. Rozpoczynają się domostwa na horyzoncie. Czyli jednak miasto. Tylko dlaczego. Dlaczego nic nie pamiętam. Ani miasta, ani oazy. Tu co najwyżej mogła być skalna formacja. A jednak coś jest. Jeszcze raz spoglądam w stronę oazy. Ale nic nie widzę. To chyba miasteczko. Chociaż patrząc się na prawo... widzę jakieś zarysy, ale to już chyba nie domostwa. Dwie rozmazane smugi, czarne, niewielkie. Domów powinno być więcej. Może to ich rządek? Ale miasta tutaj rzadko są ułożone w rzędzie, a zwykle budowle ciągną się kołem. Powinno być kilka domów, nie dwa. Farma? To nie zachód, idioto. Vershaton... czym to jest...

Upadam na ziemię. Uh. Koń stanął, ale ja z kolei nie mogę się podnieść. Upadłem na bark. Parszywie strzyknęło mi w ramieniu i bok pulsuje, jakbym już tracił zmysły. Widzę nadal te dwie plamy spod konia, ale.. zdają się większe. Nie wiem, czy to nie.. ludzie.. chociaż kto by tu przetrwał.. uh. Ból ćmi mój umysł jeszcze bardziej.

Oczy zamkają mi się coraz bardziej, mrugam.. żeby nie zemdleć. Ale chyba na próżno, ciężar oczu jest.. coraz większy. Uh.

\*

– No proszę... życie bywa życzliwe dla poszukiwaczy głów. Czy to nie ten frajer z ogłoszenia?

– Jak w pysk strzelił, Steve. Charakterystyczny, i ten tatuaż też na miejscu. Gęba tylko wyczerpana, bo głupi wędruje tu bez wody. Weźmy go gdzieś w lepsze miejsce, żeby nam tu nie padł trupem. Za trupa liczą mniejszą.

– Dobra, przewieś go przez jego konia, do wieczora powinniśmy dotrzeć do Ostaequaisi. A, i weź jakieś solidne sznury, bo dwa tysiące nie są za byle kogo.

– Jasne, czekaj..

– Mam, powinny wytrzymać. O, patrz, nożyk miał w bucie. To chyba jakby się nastawił na to, że nas spotka, ha ha.

– Wiąż go szybko, i zjeźdzajmy stąd. Nienawidzę tego miejsca, i jeszcze o tej porze. Przeklęte słońce.

\*

– ...Ewh...

Co u diabła

Ale mnie napieprza głowa.. uh... i oczy szczypią  
No, już, otwieramy powoli. Ahhhh

Czemu, do cholery, nie mogę nawet ręką przetrzeć oka..

– Uh

Zaraza, gdzie ja jestem? Nie było mi otwierać, uh, oczu. Ciemno tu zresztą, ale powietrze rzeźkie.. chyba nadal jesteśmy na zewnątrz.

Albo nawet na pewno. Widzę zarys gó.. noc.. i jakichś dwóch gości przy ognisku.

– E.. – w sumie, nie, nie będę ich wołać. Jestem związany. Chociaż.. raczej przez nich. Czy to... o diabli, mój konik, w końcu widzę wyraźniej. To muszą być oni. Cholerni łowcy. Nie wygrzebię się z tego już..

\*

Zrezygnowanie jest chyba gorsze, niż te więzy, które mam... eh. Brak mi sił na wymyślenie cokolwiek. I pić mi się nadal chce. Może.. może krzyknę jednak. Bez picia znowu tu zemdleję.

A wystarczająco mnie boli głowa. Uh.

– Khee..

Zaraza, głos mi ugrząsł w gardle

– Kheeee..

Cholera. Przeklnij ślinę. I tak się stąd nie wyswobodzisz, skup się na wodzie.

– Kheeej, cholera –

O, wyraźnie było, jeden się odwrócił

– Khe. Wody...

\*

– Wody? Ha ha. Śmieszny jesteś. Budzisz się, i chcesz wody. A ma panicz jakieś jeszcze wymagania?

– Przymknij się, Jeff. Daj mu tą wodę i chodź tu dokończ partię. Twoje zjebanie działa mi tylko na nerwy.

– A Ty czego? Rzadko mamy żywego. I to jeszcze błagającego o wodę. Ha-

– Stul pysk, daj mu wodę i wróć. Gówno mnie interesuje twoje poczucie wyższości, wiem tylko, że właśnie przegrywałeś. Jak tu nie wrócisz za chwilę, to zbieram Twoje żetony i naszczam ci do wyra.

Tfu.

– Poszczęściło ci się, że zależy mi na rewanżu, sam bym ci skórę wywlekł na drugą stronę, frajerze.

\*

Zaraza, co za idioci mnie złapali. Ze strzelbą po dwóch strzałach by ich nie było. Eh, że też durnocie szczęście wystarczy..

Albo i moja głupota. Mniejsza. Wody jak nie było, tak nie ma. Chyba nic wokół nie rośnie, poza trawą i tymi chaszczami. Ale z drzew i krzewów marna pociecha. W ogóle

Czemu tu tyle ostaequa. Czyżbyśmy byli...

Tak, to chyba na pewno Ostaequaisi. To chociaż wiem, gdzie jestem. Ale i tak na nic mi ta wiedza. Cóż, gdybym miał konia, wiedziałbym, w którą stronę uciekać. Ale tak.. nic mi to. Może... powinenem się zdrzemnąć..

Uh. Głowa mnie wciąż boli, sen mnie może.. uspokoi.

Uh.

\*

– Ej, Ty. Ej, obudź się.

Ewh...

Uh.

– O hco...

– O, obudziłeś się, dobrze. Wybacz za tego idiotę Jeffa. Matka go urodziła za wcześnie i już mu tak zostało. Narwany, smarkaty, gówno wie, ale sądzi, że tutaj rządzi. W każdym bądź razie. Masz tu wodę.

Uh.

....

– Dhzięki.. naprawdę..

– Nie ma sprawy, nawet więźnia trzeba napić. Co ty u licha robiłeś na pustkowiach, bez żadnej wody? Nawet Jeff taki głupi nie jest, a poznałeś go. Potrafić być.

– Ewh. Bo.. e.. nie wiem. W sumie.

Po prostu.. mi się skończyła.

Chyba myślałem, że szybciej  
trafię na jakąś oazę

– Ha ha. No tak. Nowy w tych stronach, co? Chociaż chyba nie, bo samo Vershaton ma cię na dwa tysiące. Więc nie wiem, co u licha cię tu sprowadziło. Może sam, ha – bóg – jakieś przeznaczenie–

– Ewh, to już dwa tysiące..

– No mówię przecież. Musiałeś komuś zajść za skórę, chłopie. Ale to już nie nasze zmartwienie. Właściwie... to nasze szczęście. Bo to dwa tysiące na frajer. W końcu nawet się z tobą nie strzelaliśmy.

– Nic, tylko zazdrościć, ha

– Nie lubię ironi, kolego, zachowaj swoje uwagi dla siebie. Jeff może jest idiota, ale z nim chociaż jeńcy nie są wyszczekani.

– Podobno nie macie ich zbytnio?

– Tja, zwykle ich odstrzelujemy, zanim zdążą stać się jeńcami. Zresztą.

– Zresztą, ostatnio ich nie macie?

– Coś w tym stylu.

...

– Dobra, idę. Na przyszłość nie pyskuj, bo wodę będzie przynosił ci tylko Jeff.

\*

Eh. Cholera. Te więzy są za mocne. Kamienie tu są, ale zawiązali mi je za wysoko...

A Jeff siedzi na straży, nie mogę się ruszać bardziej, bo jeszcze tu przyjdzie. Zresztą.. za słaby jestem. Ledwo czuję członki. Nie wiem, czy.. czy potrafiłbym. Nawet gdybym miał tylko nisko zawiązane. Boli mnie.. wszystko. I głowa pęka. Heh. Zupełnie jak pół roku.. temu. Jak dostałem belką, gdy próbowałem. Z tą panienką. Nie wiem czemu mnie nie zabiła wtedy. Ale. To nieistotne. Jak nie ona, to burmistrz.

...

W sumie. W szarych opowiadaniach pewnie.. pewnie przybyłby mi ktoś na ratunek. Ale nie jestem.. ah, kurwa

Czemu tak boli

Nie myśl, nie myśl.

Na czym to skończyłem..

A, tak. Szare opowiadania. Nie mam przyjaciół. Nikt mnie stąd nie wydostanie. Nie odjadę dostojuńie na koniu w blask słońca. Zresztą. Co za idiota to wymyślał. Nawet w snach takie durnoty się nie pojawiają. Piach, bezkresny piach i chłód, to wszystko. Uh. Chłód. Tak. Dlatego. Ten ból.

Niby nie zimno najstraszniejsze. Ale. To ono mówi. Ono jest głosem tej pustki. Samotności. Odrętwienia. Obojętności. Ścisza cię w członki. Uh. Śpiewa w ucho lodowatym śpiewem. Że nic i nikt, cię nie wybawi. Że niczego, i nikogo, nie obchodzi. A związany, możesz się przewalić na bok, zakryć ucho w piasku. Ale... zostanie drugie. Można, uh, zakryć tylko jedno. Zresztą. Jeśli zakryjesz.. oba.. zostanie wątle ubranie. Wszystkie.. szczeliny. Twarz. Oczy. Nos. Zęby. Usta. Zawsze się wedrze. I.. jak tu się bronić. Skurczyć.. się? Jeśli się ma.. wolne członki. To chyba, jedyne. Objąć się. Przeczechać. A po nocy, wróci noc. I tak w kółko. Do zasianej śmierci. Bezkrzesnej nocy. Nocy bez przerw. Na dzień. Do nieskończonej obojętności... nieskończonej pustki.

Uh, że też. Ta głowa tak napięprza. Mam wrażenie.. uh, łuna. To chyba łuna. Czy jakieś inne.. fioletowe. Światło. Dziwnie, tak jasno. A Jeff nadal chleje. Chyba.. już wstawiony. Że tylko patrzy tak tępco w ognisko. Gdybym... eh, gdyby nie.. uh, ból, mógłbym.. go obezwładnić. A tak. Ale. Może.. odejdę. Trochę.

Uh. Przesunę się. Chociaż.. trochę. W głęb. Najwyżej.. zasnę w krzakach. Zabije mnie jad węża. Dumniejsza..... dumniejsza śmierć. Niż od tego.. tej.. cioty. Z miasta. Zabi.. zabijałem każdego. Każdego bliskiego. Ale nie temu zasrańcowi. A i tak.. wmówił sobie. Uh. Dureń. Że nie.. uh, psiakrew. Nienawidzi. Że.. nienawidzi. Bardziej.

Cholera, te chaszce tylko kłują. A – h

Psiakrew

I leżę z pyskiem w piachu. Dobrze.. że nie mam tyle sił.. y. Jeszcze.. Jeff by mnie. Usłyszał. To teraz.. przeturlam.. się. Byle.. byle dalej. Od ogniska. Te krzewy.. chociaż nie mają gałązek. Nie hałasują. Dobrze.

Uh.

Wąż?

Ale nie.. nie gryzie.. tylko, mokro. W plecy. Liże...?

Nie.. nie mam siły. Obrócić się.. zresztą. Może. Dajmy mu skończyć.

Pisk.. boże, to ostaequa. No tak. Eh. Nic. Nie umrę znaczy. Ale co mi.. po nim. Czas... urlać się.. khe... dalej.

Tylko... nie piszcz.. za głośno. Bo jeszcze.. Jeff. W sumie.. nie wiem, co z nim. Muszę się.. odturlać. Żeby zobaczyć.. ognisko. Chociaż. Teraz i tak, niewiele.. zobaczę. Przez te krzaki. Ale. Turlamy.. się. Dalej.

Uh. Ten ostaequa.. chyba.. nie chce mnie.. wziąć.. czemu mnie.. chwycił. Chociaż.. uh, czy on..

Tak... nie wiem, czy.. chce mnie gdzieś zanie..ść. W pysku. Ale.. gryzie.. już czuję. Jak.. mi.. odpuszczają członki.. ahh.. ścierpły.. mi. Parszywie. Ale.. uh. Mogę już... trochę barkami. Może... nie.. ale.. chociaż, im. Trochę. Utrudnię. Jak.. się uda. Uh. Zelżało. Cholera, jak.. to zimno. Pogryzł trochę. Ubranie. Przenika mnie. Trudno tak.. rozruszać członki. Ale muszę. E..

Przyszedł. Nie.. nie wygląda. Jak typowy ostaequa.. te oczy.. uh. Nie, patrz się gdzie indziej. Uh. Tak, krzak. Od tych jego ślepi... głowa, nie wiem.. jakby to był narkotyk. Mógłbym tak.. wpaść. Jak w jakąś.. studnię, zapomnienia. Ale. Uh. Znowu mnie dotyka. Tym swoim... mokrym nosem. Jeszcze. Nie mogę go kopnąć, psiakrew.

Nogi też związane. Ręce też.. a tu jakoś.. nie ma nic. Tylko... barki. Łatwiej mi będzie.. tak rzucać się.. w którą stronę tylko. Nie poznaję tu stron. Oaza ostaequa, ale.. po której stronie. Jest ta wiose... Eeej. Czekaj...

Cholera, uciekł. W sumie. Nie wiem, co za różnica. Eh. W sumie, nic.. albo. Jest, ten fiolet. Za krzakami. Może.. jak będę tak... sunął, na zmianę nogami, i barkami... to dojdę. Dosunę się. Nie wiem.

W ogóle.. czemu... czemu chcę do niego. Przecież.. i tak.. nie dojdę. Bez wody, związany. Żeby... znowu poczuć? Ten mokry nos..? Ghe.. nie ma w nim.. nic. Głupia myśl.

Chociaż.

Nie ruszać się tak... dać. Zdrętwieńc czlonkom.

Ale.. jak zasnę. Może.. będę miał więcej.. siły.

I tak to bez znaczenia... jutro.. albo i dziś. Dotrzemy. Do miasta. Zawisnę.. może tego.. popołudnia.

Siła.. nie ma znaczenia. I tak nie wyrwę się. Może. Choć trochę. Do jego oczu. Nosa. No.. nogi.. w przód. Ah.

Teraz... góra

– yhp

Dobrze, już.. krok do przodu. Chociaż to nie krok. Ale.. dalej. Nogi. W przód.

Teraz... góra.

Nogi...

Góra...

Nogi...

Khe. Strasznie... powoli. Jak.. jak ja tak. Nawet do niego dojdę.

Góra...

– yh

Nogi... góra

Przyśpiesz, do kroćset

Nogi.... góra

Nogi... uh, bliżej. Aż mi wróciły.. siły.

Chociaż to bez sensu. Ale...

Nogi... góra.

Nogi..... góra.

Już.. prawie krzaczek. Nie ru.. nie ruszaj się, mały...

Nogi.... góra

– ah

Aj, kluje. Ale.. widzę cię. Draniu. Czemu tak na mnie.. patrzysz.

Przecież ostaequa i tak.. nie jedzą ludzkiego.. mięsa.

Znowu... eh, tym razem mnie liże. Przecież.. nie, to durne. Może... ktoś go kiedyś miał, i.. mnie przypominał. Nie wiem. Dziwny.

Ale

Eh. Nie wiem.

Uh. Czemu.. tak na mnie.. patrzy.

Jakby... czekał. Nie liże już. I...

Odsunął się. Uh. Ale.. wciąż patrzy.

Znowu... się odsuwa. Co.. co ty chcesz. Żebym..

Cholera, głupie myśli. Przecież to nie myśli.

Chyba. Chociaż...

Jakby... jakby chciał. By z nim iść. Stanął.. i patrzy. Ale.. to już kilka kroków.

A może.. uh

Co mi zostało. Spróbujmy.

Nogi... uh, góra.

No, krok. Do przodu.

Uh. Cofnął się. Tyle.. samo.

Czy... on.. uh.

Spróbujmy. Jeszcze.. raz.

Nogi.... góra.

Uh, czuję w członkach ból. Te parszywe.. liny. Wrzepiąją się.

Ale... ruszył się.

Cholera, to głupie. Gdzie on... i jak ja.. w tym.. wszystkim.

Ale...

Nogi...

Góra.

Znowu.

Przedziwne.

Spróbujmy.. nogi.... góra.

Nogi.... góra.

Heresurze, jakie to żałosne.

Jak ja dojdę tak gdzieś.

Ale.. ten drań ciągle patrzy. I... oddala się. O tyle samo.

Wariuję już chyba... wody...

Bo przecież. To nie ma...

Znaczenia – sensu?

Nie wiem.. ale.. nogi....

Czuję się.. dziwnie. Tak.. i tak skończę na stryczku.

Góra.

Uh.

W sumie... na co.. na cóż mi to.

Skok wiary?

Że... prowadzi mnie?

Ale przecież. To.. prawda, choć. Tak bez sensu.

Tak jakby.. po omacku. Ale jakby coś myślał.

Ale, trzeba w to... uwierzyć. By to.. miało sens.

Dopóki... nie opadną mi członki... nie mam w sumie. Wyboru.

W obliczu... zawiśnięcia.

Zresztą.. nogi... chętnie bym tej pierdole z miasta.. góra. Wywinął numer.

Nogi.. pewnie by. Góra. Czuł się nad.. nade mną.

Nogi.. a to... najsłodsza.. zemsta. Dla.. niego.

Góra.

A dla mnie. Zgorzknienie.

Nogi. Choćby dlatego... nie mogę. Góra.

Teraz zemrzeć. Niechby... mnie zabiła. Nogi. Matka jakiegoś gówniarza.

Góra. Co to go ukatrupiłem. Nogi. To by była... godniejsza. Śmierć. Niż od tej.

Szczyny. Góra.

Nogi..

Cholera. Gdzie...

On – ah

Cholera, nie podkradaj się tak od tyłu.

Znowu go wzięło na lizanie, he..

Nie...

Szarpie. Jednak.. psubrat. Na mięso.. ale. Kurtkę coś długą

Czy... czy.

Czy on mnie...

Tak, ręce... na serce proroka.

Mogę je... uh, psiakrew.

Ale ścierpły. Ale... mogę. Mogę nimi.... ruszać.

Co za psubrat.. cudowny.

Faktycznie.. skok wiary. Ty... gdzie jesteś

Uh, tu są te oczy. Znowu... w oddali.

Ale.. muszę. Rozprostować je. I... nogi. Zaraz je.. też rozwiązać. Teraz.. tylko.

Sił brak. Czołgać się.. będę? Tak.. nie wiem. Nogi.. pewnie mi ścierpły.

Bardziej nawet. W sumie... zaraz.. zobaczym.

Tylko.. chwila.

Ręce wygiąć. W lewo.. praw.. prawo.

Czuję... uh. Krew napływa. Powoli... lewo. Góra. Prawo. Dół.

Ah.

Okropne. Ale napływa, już.. lepiej.

Już lepiej.

Teraz.. nogi.. rozwiążmy. Czekaj, czy on... a, jest. Dobra. Czeka.

To zróbmy... zaraza, mocno związały.. a ja nożyka. Nie mam już.

Może.. mnie rozwiąże? Choć.... ej, psubratku!

...

Eh, chyba.. muszę tańczyć jak mi zagra.

To.. ruszę się. Na rękach. Albo.. jakiś.. kamień? Jest tu coś ostrego..

Niezbędny widac cokolwiek. Choć noc rzadsza.. taka. Ale... chyba jeszcze nie  
świta.

Dobra, jeszcze..

Już, już coś. Schodzi. Dobra. Jednak...

Powoli, supełek odszedł. Luźniej. Dobra.

Kolejny... supełek.

Już. Kolejny.

Dobra, jeszcze jeden... już jest lekkie, tylko tyle.

Powoli...

Jest.

Jest. Jest. Cholera. Jebany sznur.

Ale.. mogę już. Nogami ruszać. Nareszcie.

Muszę... trochę je rozruszać. Bo upadnę jeszcze. Jak będę szedł za tym wilkiem.

Bo.. tak, czeka. Zupełnie nie wiem, gdzie iść. Przez to osłabienie... nie wiem, powinniśmy iść na południe. Południowy zachód. Ale.. pochmurno, gwiazd nie widzę. Aa – h.

Parszywa nogą. Ale.. już lżej. Lepiej.

Dobra, to.. tu jest. Muszę się do niego zbliżyć. Boli.. wszystko. Ale chociaż mogę ruszać. Wszystkim. Haha. Tak, też wszystkim. Boję się, że świta. Ale przecież.. niedawno szli spać. To chyba.. nie minęło tyle czasu już.

Dobra. Dźwignijmy się. Leżąc.. na boku. Wiele nie zdziałam. A poza tym... niech widzi. Że.. mnie uratował. Yh.

A – h.

Cholera.

Na klęczkach... czuć.

To pieprzone odrętwienie. Muszę poruszać.

Powoli słabnie. Eh, całe szczęście.

Dobra

Chyba mogę... w jego kierunku. Powoli. Bo jeszcze wróci. Ból.

O, i idzie. Znowu. Ten psubrat faktycznie mnie kieruje. Gdzieś. W sumie... nie wiem czemu. Czemu zakładam, że... w dobrą stronę. Bo ja wiem... w mieście mógłby znaleźć coś do jedzenia. Albo pogryźć się z psami. Zawsze to lubiły. A moje.. moje nie po drodze.

Bo co można na tym zadupiu... wody może trochę. Dostanie. Ale to.. to i w mieście.

Ale jakoś tak czuję. Dziwne. Ale.. niech prowadzi. Najwyżej. Sam się wydam. Zawsze te durnie.. z obozu. Nie dostaną tych dwóch. Tysiący. Taki śmiech straceńca.

Ale.. może ktoś mnie ukryje. Nie wiem. Zależy.. kiedy dojdziemy. I gdzie. Znaczy.. w którą część. Bo północna dzielnica.. to nawet dobrze. Ale... musielibyśmy. Obejść miasto. W koło. A chyba nie będzie tak szedł –

E

Zatrzymał się. Iść?

Dalej?

Spróbuję może.

Dalej.

Teraz nawet.. nie patrzy się na mnie. Jakiś.. inny taki. Może.. z tyłu.  
Ale nie. Oaza.. już wyszliśmy. Ale.. nikt się nie rusza tam. Nie czuję.. tylko  
ogniska nie czuję. Ale.. wiatr wieje

No tak

Wiatr wieje w tamtą stronę. Ale... przecież ten idiota i tak nic nie poczuje.  
Wietrzyk drobny. A ja... ja chyba nie różnię się. Od reszty. Zresztą.. przecież tylko  
konie mogłyby poczuć coś. Nie powiedzą. Chyba.

Ale dobra, grajmy w jego grę.

Albo

Może... powinienem.. iść w tę stronę. Co on szedł wtedy? W sumie.. gdzieś  
bym doszedł. Tylko bez niego. Chyba że by dobiegł. Ale..

Nie wiem. Czuję się...

Nie, to głupie

Ale..

Głupie to, ale jakoś.. bezpieczniej. Choć przecież to ostaequa

Polujemy na nie, bo najłatwiej, je ustrzelić. I zdobyć mięso.

I... mimo to. Czuję w nim.. to coś. Gdyby.. mi to powiedzieć kiedyś.. nie  
uwierzyłbym. Ale.. jednak.

Eh. Czekać czy

O

Czy on słyszy myśli... idzie. Znowu. Dobra.

To za nim. Jak wcześniej.

Przynajmniej.. nie muszę decydować.

A tak.. jest przede mną.

Przewodnik, heh.

Nie wiem.. mam wrażenie, że niebo się przerzedza.. i chyba. Chyba idziemy  
dobrze. Znaczy.. na południe. Choć.. to nie ma sensu. Jakby... prowadził mnie duch.

Duch w ostaequa. Może.. choć całe życie, nikomu nie uczyniłem nic. Więc to  
nie duch, który by mnie znał. Może jakiś, błąkający się za swe grzechy. Może  
podobny. Mi. I dlatego, widząc podobnie złego, chce spełnić tak zadośćuczynienie...  
może sam się takim stanę. Eh. Zaraza.

Co mi przyszło, tak pieprzyć po próżnicy. Przecież i tak nie wierzę w takie  
bzdury. Ale.. zostały, gdzieś, po tej rodzinie świętoszków. Dobrze, że zdążyli  
wykitować zanim zszedłem na tę drogę. Lżej mi na sercu, że.. odpowiedzialny...  
jestem jedynie przed sobą. Zresztą. Heh. Cóż z tego. Odpowiedzialność. Głupia  
rzecz, rozważyć ją tutaj. Tu ludzie... rzadko mają honor. Czy cokolwiek. Mają  
strzelby. I mnóstwo niechęci. Lub strachu. A zwykle.. i tego, i tego. Przez to.. nawet  
mi ich nie żał. Chociaż ta miejscowością.. do której się kierujemy. W sumie kilka  
chałupek. Tych ludzi lubię. Mają.. jaja, i są inni. Nie tak zimni. Jak cała reszta tego  
zepsutego Vershaton. W końcu czasami z nimi polowałem.

Zaraza, zaraz pocznę myśleć, że jeszcze to u nich... czułem się jak w domu.  
Ale. Kto wie. Może. Choć nie wiem co to znaczy, po tym czasie. Ale... było mi tam  
dobrze. Jak rzadko. A teraz.. wracam. Znów. Do domu. Albo czegoś... go  
przypominającego. Nie wiem. Ale dobrze, że ten psubrat.. nie wiem, że coś go do

mnie. Ten... nos. Nadal go czuję, choć teraz przecież węszy, idąc przede mną. A ja za nim. Podążam. Jak cień, wiernie, nie mogąc się odłączyć.

Jeszcze godzinę temu... w sumie. Nie wiem ile temu. Ale.. czułem się stracony. A teraz. Myśli mi wracają. Do tego, czego nie powinny. Ale.. znów będę żył, i znów będę musiał żyć z tymi myślami. To... jedyne, co dawało mi ulgę. Że umrę. A teraz nie wiem. Chociaż chcę żyć. Ale nadal nie wiem, jaki w tym cel, po tym wszystkim. Żyć, by przeżyć, zarobić trochę na napadach. Jak do tej pory. Chociaż.. to brzmiało lepiej, gdy o tym nie myślałem. Ogólnie... więcej rzeczy brzmi dobrze, jeśli zbytnio o nich nie myślisz. A tak. Pewnie kiedyś, znajdę sobie jakąś wdowę, zajmę gospodarstwo. Eh. I będę bronił go przed takimi jak ja. Albo jakiś narwany młodzik zwany burmistrzem, przyjedzie, bo skusi go nagroda. Ale... zemrę na tej parszywej ziemi, która niewiele mi dała. W sumie... dała mi wszystko. Ale spopieliła, co piękne.

Zaraza. Tak właśnie. Nie myśleć. Powrót... nie ma sensu. Piasek się przesypał. Nie wrócisz, co opuściłeś, lub co cię opuściło, bez zmian. Zaraza. Tak to jest, jak, się nie skupiasz na tym.. co w tej sekundzie. Na parszywym zimnie.

Teraz. Go.. czuję. Eh.

Myśli mi nie pozwoliły.. poczuć tego. Obezwładniającego. Zimna. A mnie te cioty obdarły z ciepłych ubrań. Albo.. nie wiem. Chyba ich nawet nie zdążyłem założyć. Zostały w oazie.. a zostało mi te cienkie skrawki koszuli. I.. przenikające zimno. I te oczy. Przede mną.

W sumie.. to niezwykłe. Że tak prze niestrudzenie. Z raju, jakim jest Ostaequaisi. Albo miasta. Bogate, że trafi się tym wilkom i skrawek mięsa. A tu... pustynia, a cel? Rozlatujące się... chałupy. Kilka miłych ludzi. Ale biednych. Jak szczury, robiących wszystko, by przeżyć. Tylko... nie zabijających się. To.. w sumie ich różni od mieszkańców. Tu wszyscy są szczurami.

To takie... bez sensu. Iść mimo tego, że nic z tego nie będzie miał. A jednak się dzieje. I te.. oczy. Ostaequa takich nie mają. Gdybym.. wierzył w te bzdurne bajania, uwierzyłbym, że to jakiś złośliwy duch pustyni. Albo.. coś podobnego. Ale... kieruje się w dobrą stronę. Chyba. Trudno mi to nawet ocenić. Niby.. księżyc widać już wyraźnie. Gwiazdy też, choć rozjaśnia się. Zaraza. Ale. Nie potrafię znaleźć tych gwiazd.. które znam. Jakby... jakbym miał mętlik, przez ten brak. Wody. I... jedzenia. I.. zimno. Jeszcze zimno. Parszywie. Jedynie... myśląc. O innych rzeczach. Trochę się w tym zatracam. Ale... ciągle mi wraca. Ta myśl.. do której nie powiniensem. Eh. Jakbym czuł wyrzuty... za tych ludz– chociaż. Za te dziewczki. Albo przepite pieniądze biedaków. Ale.. to gorsze. Bo nic... w sumie, z tymi innymi, też. Nic nie zrobię. Ale.. jakieś, nie wiem. Naturalniejsze. By to było. A to już... który księżyc, który rok. Myślenia o tym. Gdyby... ten szczur z miasta, wiedział. Pewnie tortuowałby mnie tym. A jednak.. wiem tylko ja. Ale... to boli jeszcze bardziej. Chociaż... przecież nikomu... to i tak by nic nie dało. Mi nic. A komuś, to wszystko jedno. Inni przecież nie słuchają, by cię zrozumieć. Tylko.. bo taka zasada. Ile z nich chce pomóc. Tak nie z poczucia obowiązku... ale bo wynika to z ich. Serca. Zimno. Przenika mnie przez to... ubranie. Szmaty. Eh. Ale... i tak szybciej nie mogę.

Przeraża mnie.. trochę, że. To tak. I tak długo będzie jeszcze. Świta. A.. Z tego co pamiętam.. to od Ostaequaisi do domów. Kilka godzin. Koniem. A

ja.. mam tylko słabe nogi. A teraz jeszcze... zimno. A później, nie będzie. Lepiej. Bo ciepło, i znowu mnie rozłoży. Bez wody, dotrwanie może? do poranka. Może trochę jeszcze jak słońce poświeci. A później będzie cieplej. I suchość. Zimno i suchość. Na zmianę. Taka, noc i dzień. Tylko... że następnej nocy. Nie doczekam. Czy bym zemarł tutaj, z ciepła. Czy na stryczku. Wszystko... jedno w sumie. Ale tutaj.. może dojdę jeszcze. Nie wiem, ile jeszcze tylko. Wydaje mi się.. jakbyśmy szli moment. A z drugiej strony. To wieczność. Zimno... sprawia, że wieczność. A myśl.. że moment. I że wieczność. Bo ciągle wracam. Do niej. Ale to nie ma sensu. I tylko wydłuża.. choć może. Wracam przez to do rzeczywistości. Zimno. I jeszcze o tych wszystkich twarzach. I gospodach. Karczmarze. Pociski, które ładowałem... odstrzelując. Tak. Ale to wszystko. Nie ma znaczenia. Chaos. Jedyne, co skracza czas. Niczym te nowe pociągi. Prędko pędzące przed siebie. Że już koniem ich nawet ciężko ścigać. Nie mówiąc, że pancerne, psubraty, i jeszcze. Ci żołnierze na dachach, przeklęci snajperzy. Ale.. przeklęci zresztą. Nie moje.. zmartwienie. Nie ja się bawię w pociągi. Mi... mi wystarczą, drobne ze sklepów, trochę na przetrwanie, dziewczka na chwilę, naboje i noce pod niebem. Choć i tak.. przyniosło mi to. Dwa tysiące, za głowę. Śmiesznie. Ale tak.. zbiera się jedno do drugiego. Na drobnicy, uzbiera się trochę.

Ale.. na tej pustce, i tak to nie znaczy nic. Za łatwo to przepić. Przegrać, wydać. Tu... w sumie nie wiem, jak na zachodzie. Ale.. tu wszystko idzie na naboje, słabą strawę, picie. Wyrko, jak ktoś panicz, i spać nie umie koło konia. I jakoś tak.. koło się toczy. Dzień, noc. Suchość, zimno. Ale pchamy to do przodu. Licząc.. licząc? Na cud, że kiedyś ta pustynia, porośnie trawą.

Ha. To by i tak nas nie zmieniło. Ale.. może. I tak nie dożyjemy tych czasów. Może zresztą tu kiedyś tak było. Zwykle to pustka, pożera życie. Nie odwrotnie. Chociaż.

Przypominam sobie, te wzgórza. Gdzie było parszywie sucho. I wracam... po czasie tam, a tu, jakaś zieleń. Ze skał. Tak.. śmiesznie to wyglądało. Też tak.. bez sensu. Jak ten wilczek tu. Idący...

Powoli...

Tak, powoli. Świta, jednak. Już mieszają mi się chwile, ile idę? Dziwne, że jeszcze tamci nie zauważali, że mnie nie ma. Ale.. w sumie, chyba, kiedy byłem tam wtedy. Chyba Jill.. Jeff.. no, jak mu tam było, zaczynał wartę. W sumie. Nawet już nie pamiętam. Trudno mi już trzeźwo myśleć. Widzę tylko jakieś przebłyski.. na niebie. I niby jest ciemno, ale.. jak przed świtem. Dawno tak tu nie było, chociaż wielu nocy nie przespałem.

Choć, te kilka nocy temu. Jakaś taka luna, całą noc na horyzoncie. Od wschodu się ciągnęła. Nawet bym myślał, że jakiś wioskę podpalili.. albo co. Ale wtedy tam, to była chyba.. było pustkowie. Za rzadko rozsiane tu wioski, by ktoś coś palił. Traw nie ma gdzie. A chałupę.. może. Ale też nikomu się nie chce raczej. Poza tym.. to światło, cudaczne było, bo nawet nie złote czy czerwone. Jasne takie.. jak to pisali w książeczkach.. takie, jak na północy. Tylko tam... chyba są na całe niebo. Albo coś. Ale bo ja wiem.

Cholera, dawno tych książeczek nie czytałem. To jeszcze jak Vin mnie zabierał na wyprawy. Był taki dziadek, co to.. hah, tak, te jego zęby. Ale wesoły był. I jak go

okradać, jak sam nas poczęstował. I dał książeczkę. Biedaczek myślał, że trafił.. na jakichś młodzieniasków bez grosza. W sumie.. miał rację. Bez grosza. Ta.. Vin zawsze był bez. Ale i tak.. nie przepijał. Ani na dziewczynki nie.. nigdy w sumie nie mówił. Ale, jak bez dna, co wrzuciłeś, to znikało. Ale, ja.. zbierałem, i na cóż mi to przyszło. Głupie.. chociaż te szczerze nie mają nagrody za głowę. To mają konia, strzelbę, i to co w sakwach. Było mi szczerdzić.. I tak się wzbogacię. A mi teraz.. od zera zacząć.

Chociaż, jak dojdziemy.. na chałupach strzelbę dostanę. Szybko.. im zwrócię. Może nawet. Chociaż nie. I tak pewnie ich tam nie będzie już. Nie ma co. Wracać. Niech ta oaza.. już mi na oczy się nie pokazuje. Nie teraz przynajmniej. Nie ma co.

Nic. Będę zabijał... eh. Ostaequa? Może. Zresztą. Zobaczę. Co tu myśleć o przyszłości. Mimo.. że świta. I tak jeszcze.

Godzin trochę. A ten tu...

Chyba nie. Patrząc po...

Czemu mi świt się widzi. Jak księżyc.. ledwo przekracza drugą z trzeciej. Chociaż.. no, ale to jeszcze. Do świtu trochę. Mieni mi się zbytnio w oczach. Zresztą.. ten tu. Nie powinno go być. Nie powinno być ze mną przyjaciela, kiedy jedynym, jest ta pustka w sercu.

Nie powinno.

Nie powinno.

Nie powinno.

I prowadzić... też nie powinien.

To wbrew... wszystkiemu.

– Słyszysz?

Nie słyszy... idzie.

Tylko niezmordowanie.

W przód.

– I na co ci to?

– Liczysz na kąsek?

Chyba, psiakrew, na królewski stół. Przecież nie szedłby, licząc na kąsek.

Ale – gdzie mu cokolwiek z tego

Nie wiem. Nie rozumiem.

– A jakbym

jakbym ci nic nie dał?

Bo zwyczajnie... nie mam?

Nic. Cisza. Taki mi oto. Milczący przyjaciel.

Jak... wokół. Wszystko.

Zimne, bez dźwięku.

Prowadzi, a ja.. tylko myślę, że idę, bo chcę.

Idę, bo.. nic mi nie pozostaje.

Te... to futro. Oczy. Przeklęte milczenie.

– I..?

Nawet... nie piśnie.

Ale to. Milczenie. I głos.. swych kroków. Gorsze od zimna.

Jak.. te zegary. Odmierzają czas do...

Może.

I jego... to..

futro? Język.. oczy.

Milczenie.

Milczenie..

Krew..

Ciepło... tak. I.. musiałbyś. Zaskomleć.

Cokolwiek. Przerwać milczenie.

Czy nie?

Czekaj.. psubracie.

Ty mnie – słyszy chyba

Ale – to na twoją

zgubę

Niech cię

Chwyce, za te

Futro..

Miękkie

– ah

Pisk

– tyle na to.. czekałem

I.. ciepło.

Pod.. sierścią

Pisk

—

I.. i..

Pisk –

...

Te oczy.

Które mnie prowadziły...

Oczy.

One..

## **KONIEC**

### **SŁOWNICZEK:**

---

Ostaequa – rodzaj liso-wilka pustynnego, w jitadzkim i baedoorskim zwany ostaequa (wyciem piasku)